

Stanisław Zabłocki

K.P.(z)K.

Palestra 35/8-9(404-405), 68-73

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z SALI SĄDOWEJ

Stanisław Zabłocki

K.P.(z)K.

Każdy adwokat miał w swej zawodowej karierze chwile, o których jak najszybciej chciałby zapomnieć. I właśnie dlatego niewdzięczna pamięć wydobywa je z pokładów podświadomości i jakże często stawia nam je na nowo przed oczami.

Jest tylko jedno lekarstwo, by nie zwątpić w swe profesjonalne walory: chwile te należy wspominać z humorem, tym bardziej, że w każdym z tych newralgicznych momentów istotną rolę odgrywała najtrudniejsza z procedur - K.P.(z)K. - Kodeks Postępowania z Kobietami.

GIRLASKA

Przed blisko dziesięcioma laty toczył się w warszawskim sądzie proces, który na skutek licznych, żądnych sensacji, artykułów prasowych obrósł w atmosferę skandalu obyczajowego. Akt oskarżenia zarzucał grupce szanowanych pracowników biznesu rozrywkowego ni mniej, ni więcej, tylko handel żywym towarem. I to handel na skalę międzynarodową. Po raz pierwszy (a może i ostatni) na wokandzie sądowej figurował art. IX przepisów wprowadzających kodeks karny. Zdaniem urzędu prokuratorskiego oskarżeni mieli zwabiać i uprowadzać w celu uprawiania nierządu w słonecznej Italii

piękne polskie dziewczyny. Płaszczkiem dla tej działalności miał być eksport tworzonych grupiek baletowych, po prostu - giralasek. Aferze nadano nawet obiegową, jakże wymowną, nazwę „dziwex”.

Prowadzony z olbrzymim taktem i kulturą przewód sądowy (składowi orzekającemu przewodniczyła - oczywiście - kobieta) bardzo szybko rozwiązał mity tworzone wokół tej sprawy. Okazało się, że w rzeczywistości nikt nikogo do niczego nie zmuszał, no, a jeśli nawet niektóre z dziewcząt nawiązywały intymne kontakty z cudzoziemcami (co zresztą było rzadkością), to czyniły to z własnej inicjatywy. Jako osobom pełnoletnim nie można im było tego zabronić.

Atmosfera procesu „siadła”. Z sali momentami wręcz wiało nudą. Może tylko stopień urody zeznających w sprawie świadków był ponadprzeciętny.

Kolejny dzień procesu. Jak to często bywa w wielodniowych „tasiemcach” zastępujący się adwokaci na przemian opuszczają salę, udając się na inne rozprawy. Kolejny wezwany świadek. I znów padają znane już wszystkim na pamięć pytania:

„- Czy ktoś nakłaniał świadka do nieprzystojnych zachowań?”

„- Ale skądże.”

„- Czy zdarzało się, że składano pani we Włoszech dwuznaczne propozycje?”

„- Te propozycje, Wysoki Sądzie, były, prawdę mówiąc, zupełnie jednoznaczne. Ale propozycje takie spotkały mnie i spotykają nadal także na terenie Polski, a ja po prostu wiem, jak na nie reagować.”

Nagle na twarzy świadka zamigotał filuterny uśmiech:

„- Nie chciałabym chwalić się, Wysoki Sądzie, ale nawet dziś, gdy oczekiwałam przed tą salą na złożenie zeznań, panowie...” - świadek zawiesiła głos, potoczyła wzrokiem po sali, nie omijając ław obrończych.

Zostało rzucone okrutne podejrzenie. Pani przewodnicząca skryła się za aktami i spokojnym tonem wygłosiła stereotypową kwestię:

- „Czy strony mają w tej sytuacji jakieś pytania do świadka?”

Koledzy milczeli jak zakłęci. Wydo byłem z siebie głos:

- „Tak, jedno pytanie, jeśli Sąd pozwoli. Jak długo oczekiwała pani na złożenie zeznań?”

„- Godzinkę” - padła odpowiedź.

„Proszę zatem o odnotowanie w protokole rozprawy faktu, który z pewnością dostrzeżony został przez Sąd z urzędu, iż oto w ciągu ostatnich czterech kwadransów żaden z obrońców nie opuścił sali” - skontatowałam.

Twarz przewodniczącej znów zniknęła za piętnastym, czy szesnastym, tomem akt. Po chwili, równie opanowanym głosem jak uprzednio, drażyła dalej: „Czy pozostali panowie obrońcy udzielili panu mecenasowi pełnomocnictwa?”

Nikt nie przychodził mi w sukurs.

„- Panie mecenasie, jak należy sądzić, znacznie przekroczył pan zakres umocowania. Takie narzucanie swych usług nie jest chyba w adwokaturze mile widziane. Poza tym nikt nie powinien być obrońcą we własnej sprawie” - przelicytowała mnie pani sędzia.

„- W tej sytuacji proszę o potraktowanie mego oświadczenia jako wniosku o zarządzenie przerwy z uwagi na zmęczenie stron” - próbowałem jeszcze bronić honoru męskiego konceptu.

„- A, to zupełnie co innego. Przewodnicząca zarządza przerwę do godziny...”.

Lojalnie trzeba przyznać, że w trakcie przerwy koledzy złożyli się na moje honorarium. Postawili mi mianowicie w bufecie sądowym kawę. Ale małą i bez cukru. Twierdzili bowiem, że świadek najdłużej zatrzymała wzrok na mojej skromnej osobie.

LA DONNA E MOBILE

Powszechnie wiadome jest, że prawdziwy dżentelmen nie powinien w natarczywy sposób przyglądać się kobietom. Ot, rzucić okiem, zachwycić się, skomplementować, ale delikatnie i dyskretnie. Ten sposób zachowania powinien cechować dobrze ułożonego Adama, niezależnie od tego, czy jego kontakt z Ewą jest natury towarzyskiej, czy urzędowej. Tym samym zakaz „wgapienia się” obejmuje i panie ławniczki zasiadające na salach sądowych.

Publicznie zatem oświadczam, że w przyszłości nie będę dżentelmenem. Przynajmniej na gruncie służbowym. Szczególnie ostentacyjnej lustracji będę zaś poddawał właśnie panie ławniczki, niezależnie od ich wieku (tj. niezależnie od tego, czy będą bardzo młode, czy tylko młode, bo - jak równie powszechnie wiadomo - panie w innym wieku nie są w ogóle w polskiej populacji reprezentowane) i ich kreacji (którą każda kobieta potrafi pokazać spod najobszerniejszej nawet togi). Co więcej, aplikantom będę na przyszłość zalecał równie nieobyczajne postępowanie, obejmujące ponadto odnotowywanie w adwokackich retentach koloru włosów, barwy oczu i woni perfum poszczególnych członków składu orzekającego.

Jak słusznie domyślają się Czytelnicy, tak desperacka deklaracja wynikać musi z nader przykrych doświadczeń jej autora. Ku przestrodze opiszę je pokrótce.

W nieodległym czasie podjąłem się obrony w sprawie, której materia nie ma żadnego znaczenia dla dalszego przebiegu wydarzeń. Pomińmy ją zatem milczeniem. Natomiast nie bez związku z późniejszymi proceduralnymi uwikłaniami pozostawał fakt, że sprawa była „wyjazdowa”, tj. toczyła się w sądzie pozawarszawskim. Proces należał do pechowych. Raz, w ostatniej chwili, sprawa została zdjęta z wokandy, na drugi z wyznaczonych terminów nie stawił się jeden z oskarżonych. Gdy zatem wreszcie nie było już proceduralnych przeszkód, aby otworzyć przewód, wszyscy uczestnicy procesu z zapałem zabrali się do pracy.

Los był jednak nieubłagany. Po kilkunastu minutach, jeszcze w trakcie wyjaśnień pierwszego z oskarżonych, zaślabła jedna z pań ławniczek. Po dłuższej przerwie przewodniczący zakomunikował stronom, że, niestety, niedyspozycja ławniczki jest poważna, ale stawiała się inna ławniczka, może więc strony wyrażą zgodę na kontynuowanie rozprawy w zmienionym składzie. Ponieważ przewód praktycznie dopiero się rozpoczął, strony ochoczo przystały na takie rozwiązanie, które odnotowane zostało w protokole rozprawy. Do późnego popołudnia uzupełniał swe wyjaśnienia pierwszy z oskarżonych, wysłuchani zostali pozostali oskarżeni i korowód świadków. Paru istotnych świadków w dniu tym nie stawiło się jednak w sądzie, a zatem rozprawa została odroczone, i to na dość długi, ponad miesięczny, okres.

Po upływie owego miesiąca i uzupełnieniu przewodu w niezbędnym zakresie wygłosiłem płomienne przemówienie. Wyrok był nieoczekiwanie łagodny, jednakże oskarżony, opatrzywszy orzecz-

nie komentarzem „jak za niewinność, to chyba z pół roku za dużo”, zobowiązał mnie do złożenia rewizji. Przez następny miesiąc oczekiwałem na nadejście pisemnych motywów orzeczenia. Sprawę znałem bardzo dobrze, retenta adwokackie prowadziłem w niej starannie, przeto na ich podstawie napisałem rewizję do sądu wojewódzkiego. Na dwa dni przed rozprawą odwoławczą bardziej z obrończego obowiązku i wieloletniego przyzwyczajenia niż z odczuwanej potrzeby udałem się do wydziału rewizyjnego, aby raz jeszcze przejrzeć akta. Rutynowe czynności: sprawdzenie podpisów pod wyrokiem, podpisy pod protokołami - wszystko w porządku. Rzut oka na składy sędziowskie w tzw. główkach protokołów i w wyroku - równie wzorowa zgodność. I nagle dzwonek ostrzegawczy! Przecież ta nienaganna zgodność sędziowskiej obsady we wszystkich protokołach i w wyroku, w tej konkretnej sprawie, to rzecz zupełnie fatalna. Przecież w drugim protokole powinno figurować nazwisko nowej ławniczki. A zatem jeszcze raz przeglądam każdy z protokołów, teraz już słowo po słowie. Nie ma cienia wątpliwości. Na ostatni termin odroczonej rozprawy wezwano „z powrotem” panią ławniczkę, która swego czasu jedynie przez kilkanaście pierwszych minut uczestniczyła w procesie. Ona też, wyłącznie fragmentarycznie uczestnicząc w przewodzie, wzięła udział w wydaniu wyroku. Zapewne wykonująca zarządzenie „wezwać ławników z poprzedniego terminu rozprawy” sekretarka automatycznie spojrzała tylko do nagłówka protokołu. Owego bezprawnego *come-back* nie zauważył zaś żaden z mężczyzn obecnych na sali sądowej.

Pomimo tego, że ja miałem najmocniejsze alibi, gdyż byłem przyjezdny, a zatem twarze miejscowych ławniczek były mi obce, nie muszę tłumaczyć swego stanu ducha po skonstatowaniu, iż nie tylko przemawiałem do nie uprawnione-

go do orzekania składu sędziowskiego, ale i w rewizji zgłosiłem wszystkie możliwe zarzuty, oprócz tego jednego, najistotniejszego, stanowiącego tzw. bezwzględny powód odwoławczy na podstawie art. 388 pkt 2 k.p.k. W trybie ekspresowym, jeszcze tego samego dnia, złożyłem bezpośrednio do sądu wojewódzkiego pismo procesowe stanowiące modyfikację rewizji.

W składzie sędziowskim zasiadały - oczywiście - panie. Nie mogę powiedzieć, aby pieściły mnie wzrokiem. Nie mogę również powiedzieć, abym był tym szczególnie zdziwiony. Mimo niezbyt sprzyjającej atmosfery trzeba było jednak zabrać głos.

„- Procesowe konsekwencje zgłoszonego w zmodyfikowanej skardze rewizyjnej zarzutu są tak oczywiste, że w obronie oskarżonego nie muszę dłużej przemawiać” - rozpocząłem, a oczy pań sędziów były nadal stalowogranatowe.

„- Natomiast na swoje usprawiedliwienie, Wysoki Sądzie, obrońca ma tylko to, że żona surowo zabroniła mu spoglądać na inne kobiety. Tak to jest, gdy człowiek słucha żony” - kontynuowałem, a sąd wojewódzki z aprobatą kiwał głową.

„- La donna e mobile - będę o tym na przyszłość pamiętał. A tak w ogóle, Wysoki Sądzie, taka historia nie mogłaby się zdarzyć adwokatowi-kobiecie. Wrodzona spostrzegawczość musiałaby zapobiec przykremu nieporozumieniu” - zakończyłem, a w błękitnych już oczach sądu znajdowałem pełne zrozumienie i rozgrzeszenie.

La donna e mobile - powtórzyłem w myślach.

CHERCHEZ LA FEMME

Obronca ma uczynić wszystko, co w jego mocy, aby, działając w ramach przepisów prawa, pomóc oskarżonemu. Cóż

jednak, jeśli broniąc klienta, mimowolnie skrzywdzi osobę trzecią? Na długie lata pozostaje gorycz i pytanie, na które zapewne nie ma prawidłowej odpowiedzi: czy wolno mi było postąpić w ten sposób?

W tej historii płaszczyzna merytoryczna ma znaczenie, zamarkujmy więc tematykę procesu. Jako młody adwokat broniłem Iksińskiego, któremu zarzucono dokonanie kilku tzw. oszustw matrymonialnych. Prokurator zarzucał mu, że wykorzystując rodzące się u naiwnych pań uczucia, cynicznie wyłudzał od nich niebagatelne kwoty, obiecując wspólne szczęście i dożgonną miłość.

Każda sprawa z art. 205 k.k. jest skomplikowana pod względem strony podmiotowej. Ta sprawa była szczególnie delikatna. Prawdę mówiąc, gdyby nie uprzednia wielokrotna karalność Iksińskiego za oszustwa, zapewne nie doszłoby nawet do postawienia go w stan oskarżenia. Skoro jednak doszło już do przedstawienia zarzutu, to zarzut ten był niezwykle niebezpieczny, gdyż czyn zakwalifikowany został jako dokonany w warunkach tzw. recydywy piętrowej z art. 60 §2 k.k. Dlatego zastosowano areszt, a sprawa była z rzędu tych, co to albo uniewinnienie, albo długie lata więzienia.

Iksiński bił się w piersi i zapewniał, że żadnej z dam swego serca nie chciał wyrzucić krzywdy, każdą darzył płomiennym, tyle że krótkotrwałym, uczuciem. Wszystko znajdowało swe źródło w zawodzie miłosnym, którego doznał przed laty, gdy to sam został uwiedziony i porzucony. „Szukajcie tej kobiety - a wszystko zrozumiecie” - powtarzał podczas każdego przesłuchania oficerom śledczym i prokuratorowi. Mnie zaś zobowiązał do złożenia oficjalnego wniosku o przesłuchanie w charakterze świadka owej rzekomej sprawczyni wszelkich jego dalszych życiowych niepowodzeń, pani - użyjmy maskującego kryptonimu

- Zofii A-ckiej. Na wezwanie wysłane przez prokuraturę (adres podał podejrzany, tak więc nie trzeba było daleko szukać) stawiała się jeszcze w toku postępowania przygotowawczego wyjątkowej urody kobieta o imieniu Zofia, tyle że o nazwisku B-cka. Przyznała, że w przeszłości, gdy jeszcze nosiła nazwisko A-cka, łączyły ją z podejrzanym ścisłe związki. Nie, nie wyłudził od niej żadnych kwot. A czy obiecywał małżeństwo? To raczej ona nie dotrzymała danego słowa.

Losy sprawy, po jej wniesieniu wraz z aktem oskarżenia do sądu, były długie i pokrętnie. Niezbyt wnikliwie prowadzony przewód sądowy za pierwszym razem i fatalne wręcz motywy pisemne za drugim razem spowodowały, że sprawa po raz trzeci (!) trafiła na wokandę sądu rejonowego. Zanim jednak do tego doszło, pani Zofia dwukrotnie składała korzystne dla oskarżonego zeznania. Interesujące było tylko to, że w tym czasie w związku ze zmianą stanu cywilnego pani Zofia zmieniła nazwisko na C-cka.

Gdy za trzecim razem wezwanie powróciło z kreślonym tym samym charakterem pisma podpisem D-cka czułem przez skórę, że dzień procesowy będzie pełen wrażeń. Tym razem rozprawie przewodniczył bowiem sędzia znany na Lesznie z admiracji dla pięknych pań, ale przede wszystkim z ciętego humoru. Towarzyszyli mu ławnicy-mężczyźni. Już przy tzw. odbieraniu personaliów od świadków powstały pewne komplikacje.

„- Pani wybaczy, ale nie figuruje pani na liście świadków w akcie oskarżenia. Czy pani aby nie pomyliła sal?”

„- Nie, nie, wszystko się zgadza, Wysoki Sądzie, tylko, że gdy zeznawałam u pana prokuratora nazywałam się B-cka...”

Przewodniczący przewertował kilka-naście kart i kontynuował:

„- No dobrze, ale dlaczego pani nie zeznawała potem w sądzie? Nie widzę tu zeznań świadka B-ckiej”.

Kobieta zaróżowiła się lekko i wyjaśniła, że znów wszystko się zgadza, bo gdy sprawa wpłynęła do sądu nazywała się już C-cka, ale jeszcze nie D-cka.

Samo przesłuchanie urodziwego świadka przebiegało spokojnie. Oskarżony znów wypadł w tych zeznaniach jako wzór wszelkich cnót, mężczyzna wyjątkowej szlachetności i uczciwości. Tak jak i na poprzednich rozprawach, były to jedyne pozytywne słowa wypowiedziane o Iksińskim z damskich ust.

Gdy nikt już nie miał pytań i pani D-cka oddaliła się kilka kroków od barierki dla świadków - zatrzymał ją uprzejmy głos przewodniczącego:

„- Pani wybaczy. Jeszcze moment. Ta sprawa jest taka pechowa. Któż zaręczy, że i tym razem sąd wojewódzki nie przekaże jej do ponownego rozpoznania. Czy mogłaby pani uchylić nam rąbka tajemnicy? Może przewiduje już pani, na jakie nazwisko należałoby wysłać pani wezwanie przy ewentualnym kolejnym rozpoznawaniu sprawy. Ułatwiłoby to sądowi pracę”.

Tym razem policzki świadka były już purpurowe.

„- Obawiam się, że niestety jeszcze nie jestem w stanie udzielić Sądowi tej informacji” - odparła nie bez godności pani D-cka, kładąc akcent na słowie „jeszcze”, po czym wyraźnie wyczerpana spoczęła w drugim rzędzie ław sądowej sali.

Czując wiatr w plecy podczas przemówienia z ironią i szczyptą patosu szarżowałem: „Akt oskarżenia oparty jest na założeniu, że zmienność uczuć oskarżonego była z góry zaplanowana, instrumentalnie podporządkowana celowi wyłudzenia stosownych korzyści. To domniemanie. Z psychologicznego punktu widzenia znaleźć można inne, wysoce prawdopodobne, wytłumaczenie jego

późniejszego stosunku do życia. Któż może być, Panowie Sędziowie, dla mężczyzny najlepszym nauczycielem niestałości uczuć? *Cherchez la femme*. Myślę, że nie musielibyście, Panowie Sędziowie, daleko szukać...”

Akcent położyłem, oczywiście, na słowie „daleko”, a wzrok mój był w tym momencie skierowany nie w stronę członków składu orzekającego, lecz w stronę drugiego rzędu ław sądowej sali.

Długie chwile oczekiwania na wyrok na sądowym korytarzu. Nagle zza czytanej przeze mnie gazety dobiegł znany głos:

„- Bardzo panu dziękuję, że pan go tak pięknie broni, panie mecenasie. Naprawdę, bardzo panu dziękuję. Już od tak dawna chciałam panu to powiedzieć.”

„- Pani wybaczy, ale mnie nie wolno rozmawiać ze świadkami” - wychyliłem głowę zza płachty „Życia Warszawy”.

„- Jeszcze tylko dwa słowa, panie mecenasie. Mam do pana prośbę. Niech pan mu powie, że jeśli kiedykolwiek zechce, to nadal czekam i że chętnie będę się nazywała Iksińska. Ci wszyscy B-ccy, C-ccy, D-ccy nie mają żadnego znacze-

nia. To wszystko dlatego, że nie mogłam zostać Iksińska. Niech mu też pan powtórzy, zresztą on o tym wszystkim doskonale wie, że może ze spokojem zgłaszać mnie na świadka w każdej kolejnej sprawie. Bo on będzie miał te sprawy, panie mecenasie, niezależnie od tego, że pan tak pięknie broni” - i po urodziwej twarzy świadka D-ckiej spłynęły dwie wielkie łzy.

W jej oczach malowało się to upokorzenie sprzed lat, o którym z pewnością nigdy nie zezna przed sądem, i to upokorzenie, którego doznała, za moją między innymi przyczyną, przed dwoma godzinami.

Bez radości sukcesu wysłuchałem po blisko dwu latach uporczywych bojów wyroku uniewinniającego i fragmentów uzasadnienia o „słusznym stanowisku obrony co do wątpliwości dowodowych, dotyczących zamiaru sprawcy”.

Pewnym pocieszeniem było dla mnie doskonale maskowane szczęście, które dostrzegłem w oczach kobiety zasiadającej - oczywiście - w drugim rzędzie ław sądowej sali.